

lichem komedjantem niemieckim i do polskości nienawisć żywił, a udawał patryję. Tedy mówili ludzie: aża teraz nastąpiło panowanie głupiego, który sam jeden więcej zrobi złego, jakby mogło zrobić czterestu mądrych? A ludzie prawdę mówili, bo siła złego robiło się, przez to, że się nie nie robiło.

A był niektóry mąż we Lwowie, który miał majętność na *Dzienniku Polskim*. A było imię onego męża Schmitt, który Musztardka przydomek nosił. A Musztardek zapragnął zmienić obyczaje swoje i z marnego kancelisty rachunkowego pożądał przemienić się w dyrektora teatru. Przetoż ziałał nienawiscią do Baracza, czynił się szalonym w swej złości, kreslił znaki na bramach teatralnych i puszczał śliny na brodę swoją, a w *Dzienniku Polskim* szakała głosem śpiewał, a śpiewał. Tedy Baracz, co już z rodu głupkowatym był, zbierał do cna. Przetoż syndyk na Schmitta palcem kiwał, a do Baracza rzekł: nie mieszkać więcej na tym zamku teatralnym — idź, a wróć się do domu swego, albowiem Musztardek w rękach swoich włóczęgę ma. Tedy odszedł Baracz z zamku teatralnego nie działawszy nic, gdyż sam był niczem, a z niczego ino Bóg jest mocen coś zrobić, ale Pan, pożytecznem znajdował, aby takie Baracze dla nauki innych, w nieości pozostawić.

I rozpoczęły się rządy Schmitta. A były to rządy głodu, chłodu i chowania się po pieczarach przed tymi co wołali: jeść! A Schmitt miał się za głowę teatralnej imprezy — a głowa jego podobna była do głowy elińskiej, co myśli, że wiele ma, atoli wiele tam nigdy nie było — za to pyszność, zarozumiałość, obżarstwo i pożydlwość na endzą godność, rozpanoszyły się w skornię Schmitta odczyna aż do pięty. Tedy mówiono: zły człowiek z tego Schmitta jest i ludzkiem w nim cnot, ani na lekarstwo, a zaciekość w nim tak sromotna, że gdyby mu powiedziano: Schmitt! ażali chcesz, aby Polska była w którejby, żyć mogli nieprzyjacieli twoje — Schmitt by odrzekł: nie pożądam Polski żadnej, a chcę, aby mych nieprzyjaciół diabli wzięli, bo ja ich wzięć nie mogę.

I stało się to, co się dzieje od początku świata, że kto zapragnie być wielkim, a jest małym, pęknąć musi i para głupstwa, a mizerność wyjdzie z niego i zniknie bez śladu, jak znika chrabaszcza dech, którego nikt nie poczuje nigdy. A marzeniem Schmitta był balet w jakowym topi się zwierzęości ciała jego, choć chyrlawy był i na bezżydkowych nogach chadzał. Tedy sprowadził z lupanarów włoskich manzele, które skakały po lwowskiej scenie czyniąc wstyd, a hańbę polskiej sztuce i przyrodoznictwu ludzkiego smaku.

A Schmitt czując się małym, zapragnął dużym być i postanowił przedziwniegnąć się w gubernatora teatralnego. Owo rzekł do aktorów swych, którzy stali przed nim: słuchajcie niewolnicy moi — ja pan wasz, i aża wam daję rolę



Na ulicy.

- Ależ ja pana nie znam! co pan chce?...!
- Właśnie, pragnę się pani przedstawić...
- Jakto — na ulicy?...!
- No, bo nie wiem, gdzie pani mieszka...

i winnice, a przetoż robić z wami mogę według woli mojej i według chcenia mego wynagradzać was, albo karać będe, bom ja wasz pan i władca. I poruszyło się na wnętrzu dusz aktorskich, które zazwyczaj śpiące, a trawiące wszystko są. I zebrał się wszyscy, którzy byli utrapieni, i wszyscy, którzy byli markotni, i wszyscy, którzykolwiek byli w gorzkości serca do Schmitta. I stał się end w lwowskim ludku aktorskim. A endem tym była solidarność, która się zamieniła w bezrobocie aktorskie. I strejkowcy wybrali nad sobą trzech książąt, aby chadzali i wychadzali przed ludem. A książętami tymi byli: Kwieciński, Złobński i Skalski, którzy sumiennie chadzali i wychadzali. I zapalił się gniewem Schmitt, a rzekł: syny złościwe, a uporne, ażaż wiem, jako siejecie ku zelżywości i ku poharbieniu, a sromocie mojej — przeto zgniote was. Ale rosła siła w strejku aktorskim, przerosła nawet głowy aktorów i zgniotła Schmitta na musztardę. Tedy poharbienie dyrektora było wielkie, a tak głęboką wykopało przepaść, iż już nikt, ani przeskoczyć, ani jakowemś materjałem zasypać jej nie był zdolne. A dalsze panowanie Schmitta było ponure i nędza poczęła wyglądać ze wszystkich dziur, jakowych w teatrze jest moc ogromna. I stało się tak, że Schmitt ino pomykał po teatralnych manowcach, a ścieżkach zakulisowych kryjąc oblicze swoje z gniewu, który chrobotał jestestwem jego i przycekał kieszenie, które puste były dla teatru, bo odgarniano z niego za wiele na różne dyrektorskie wygożenia, a wyderkały, jakowe w łączności z teatrem i jego dobrem nie były.

Tedy stało się tak, że Schmitt stał się niemożliwym, a ruina groziła ogólna. Tedy widząc Schmitt zgnę swoją i poharbienie swoje, i w szmaty podarto

imię swoje, obrzucone przekleństwem i sliną pokrzywdzonych — szczeził z dyrekcyi teatralnej. A nie wiadomo, którymi drzwiami Schmitt wyszedł, albo wyniesiono go i na jakowych kondycjach. A radość zapanowała wielka w rzeszy teatralnej. I cheiano wydać bal na uczczenie tego radosnego wydarzenia — ale Schmitt zostawił aktorów bez monety przeto radować się tylko mogli w swojej goliźnie.

I nadszedł inny czas, inny człek, a w nim inny dyrektor, dyrektorem tym jest Przybylski, co się popularnie Żyziem zowie. A nowego dyrektora przyśłość leży w jego własnych rękach i w rękach mądrych, a dobieli ludzi, przez których Pan błogosławi owocnej, a uczciwej pracy. A to się wszystko pokaże w niedalekiej przyszłości, która jeszcze zakryta jest.

Abdulah.

Zawsze to samo?...

Pada deszczyk — z ciemnej chmury.
Pluska po kałuży,
Spojrząc dołem, — czy do góry.
Jednakowo służy
Krótkie życie, — pełne cienia,
Przeraża w nim stota:
W pokoleniu z pokolenia,
Brudzi człek dla złota.
Z ziemi powstał, — skryje w ziemi.
Skarbów nie zabierze:
Bogacz pyszni — nad biedniemi,
Wydartemi pierze!
W lepsze życie — żyje wiara,
W życie a bez końca,
Człek człękowi — wydrzeć stara.
Mały promek słońca!
I na świecie i dla świata,
Zwierząt mnożą stada:
Z ofiar błędnych i ich kata.
Spółcześnie składają!
Wybór trudny — choć świat światem.
Życie ciężka kara:
Nie każdemu — zostać katem.
Ciężko być ofiarą!!!

A. K.